

Wasył Gołowaczew

## Uciekinier

Helikopter zszedł do wysokości dwustu metrów i nachyliwszy się, zataczał kręgi.

- Widzisz żółtą plamę? - zapytał pilot Bierzina. - To jest Smocze Pustkowie. W centrum - Kieł Smoka.

Kieł miał postać idealnie gładkiego, kamiennego palca, o średnicy około stu metrów i wysokości ponad pół kilometra. Otoczony był rozległym, piaszczystym „jeziorem”, które z trzech stron ograniczała tajga, a z czwartej, poranione fioletowymi cieniami urwiska łańcucha wzgórz Salair.

- Schodzimy - pokazał ręką Bierzina - na wierzchołek.

Pilot pochylił stery i helikopter runął w dół, ryknąwszy silnikami przy samym szczycie skały.

Z wierzchołka, pustkowie wydawało się bezbrzeżną pustynią, nad podziw równą i gładką. Bierzina nie dostrzegł na niej ani jednego kamienia, czy krzaczka, a rozpalone nad horyzontem żółtko słońca i białawe, puste sklepienie niebieskie, tylko dopełniały obraz martwego spokoju. Nawet wiatr ucichł, jakby bał się zmącić ciszę...

Bierzina tupnął w brązowy monolit pocętkowany deseniem drobnych pęknięć, wyobraził swój widok z boku i uśmiechnął się. Kieł Smoka był świetnym postumentem dla pomnika, chociaż sam wydawał się zapomnianym monumentem epoki górotwórczej, pomnikiem czasu, wygładzającego jego boki, ale niezdołnego zetrzeć do podstawy...

Licznik Geigera i dozymetr dublujący włączył jeszcze w powietrzu, ale milczały - radiacji nad Smoczym Pustkowie nie było. Ale coś było, skoro jego, rzeczoznawcę CENTRUM zajmującego się ulotnymi zjawiskami przyrody przy Akademii Nauk, wysłali tu, w delegację.

- Posłuchaj, nie jesteś przypadkiem znawcą miejscowych legend? - zapytał pilota, podchodząc do krawędzi placu.

- Znacząca, to za dużo powiedziane... Buriaci mówią - zła ziemia. Zwierzęta unikają pustkowie, ludzie też, z jakiegoś powodu, nie osiedlają się. Według podań, w tych stronach zagnieździł się smok wysuszający swoim oddechem serca ludzi...

- Poetycko. I zagadkowo. Promieniotwórczości nie ma i to jest bardzo dziwne. A dwa dni temu...

Dwa dni temu, w tym okręgu rozpętała się burza magnetyczna, z centrum w strefie Smoczego Pustkowie. Satelity wykryły tu jeszcze źródło radiacji, pojawiające się i znikające mniej więcej raz do roku. Bierzina udał się na to miejsce natychmiast, jak tylko CENTRUM dowiedziało się o zdarzeniu, ale, wygląda na to, że zanim dotarł, źródło radiacji znów zniknęło.

- Bardzo dziwne - powtórzył zamyślony.

Pilot wyjrzał z kabiny. Na ponurej dotychczas twarzy, teraz odbił się jeszcze niepokój.

- Nie wiem, co jest, ale chciałbym zwinąć się stąd jak najszybciej. A ty?

Przy tych słowach naukowiec poczuł się nieswojo, miejsce zrobiło się nieprzytulne i odniósł wrażenie, że ktoś obcy, obserwuje go zaczepnie...

Doznanie było tak wyraziste i realne, że mimo woli cofnął się oglądając i czując, jak poca się dłonie. Dziesiątki kilometrów dookoła, oprócz nich nie było żywej duszy, ale odczucie obserwacji nie zniknęło, wręcz przeciwnie, wzrastało i wreszcie, stało się nie do wytrzymania.

- A, d-diabli z tym! Odlatujemy!

Zrejterował pod wątpliwą ochronę helikoptera, wlaź do kabiny i zatrzasnął drzwiczki.

- Jednak... - mruknął pilot. - Też obleciał strach?

Helikopter wzbił się w powietrze, mignął pod nim i umknął w dół pionowy bok skały i zmienił się w żółto-pomarańczową, równą jak stół powierzchnię piasków. Kieł Smoka oddalił się ...

- Usiądziemy na piasku? - zapytał Bierezin, wciąż patrząc na tajemniczą skałę, dziwny kaprys przyrody, wznoszący się idealnym obeliskiem w centrum piaszczystego masywu. A może to wytwór ludzkich rąk? Ale kto, kiedy i, najważniejsze, po co?

Pilot pokręcił głową.

- Na piasek nie wolno.

Po kilku minutach, maszyna zawisła nad wąziutkim paskiem ziemi obok ściany lasu i sprężynowała na łąpy.

Teraz dopiero zwrócił uwagę na to, że las, który zaczynał się około pół setki kroków stąd, był jakiś dziwny – uschłe drzewa. Sękaty pnie splotły się bezlistnymi gałęziami, tworząc martwy, szary pas wzdłuż piaszczystej gładzi tak daleko, jak sięgał wzrok. Żywy, zielony las zaczynał się za tym pasem nie od razu, ale stopniowo, w miarę zanikania siły, która wysuszyła go przy skraju.

Ze zdumieniem przyglądał się kłującym pędom uschniętej cedrowej kosodrzewiny, ale pilot go zawołał, więc ruszył w jego kierunku.

- Patrz - pilot podniósł kamień i rzucił na niedaleką, piaszczystą powierzchnię. Kamień upadł i zniknął z oczu, jakby zanurkował nie w piasek, a w wodę. Rzucił jeszcze jeden, bliżej, ale z tym samym rezultatem.

- Grzęzawisko.

- Grzęzawisko? - zdziwił się Bierezin. - przecież piasek taki gładki - ani barchanów, ani zmarszczek. Grzęzawisko... Na przestrzeni około dwudziestu kilometrów?

- Nie inaczej. Kiedy zaczyna się wiatr, piasek aż płynie, sam widziałem. No, co, będziesz pobierać próbki?

- Na pewno. A jutro, zabierzemy pomocnika, przewieziemy namiot i wszystko, co niezbędne. Trzeba będzie trochę się poopalać.

„A co, jeśli Kieł Smoka jest nieznaną budowlą, a płynne piaski - ochronną strefą? - naszła go dziwna myśl. – A dlaczego by, nie? Zresztą, bzdura!” - i wziął się energicznie do pracy.

Pół godziny później, kiedy już pobrał niezbędne próbki gruntu, wykonał pomiary i zamierzał odnieść przyrządy do helikoptera, horyzont, daleko nad centrum piaszczystej łąsy, zapłonął nagle liliowym blaskiem, piaszczysta równina stanęła dęba i po kilku sekundach nadleciał gorący wicher, zwałił się na las i przyniósł ze sobą potworny ryk i żółtą mgłę.

Fala uderzeniowa odrzuciła uczonego daleko w kłujące zarośla suchego lasu. Póki wydstawał się, raniąc do krwi ostrymi gałęziami, ryk przycichł, jakby się oddalał. Teraz, przypominał szum wodospadu, słyszanego z niewielkiej odległości.

- Żyjesz? - zawołał do pilota.

- Tak, jakby - ponuro odezwał się ten, niewidoczny zza gęstej, żółtej zasłony kurzu.

Skierował się na głos, obszedł ledwo widoczną tuszę helikoptera i przysiadł obok.

- Co to było?

- Mnie pytasz? Helikopter przewróciło, trzeba będzie podnosić... A grzmotnęło, akurat w rejonie Kła. Nie na darmo ciągnęło mnie, by wydostać się stamtąd jak najszybciej.

- Meteoryt? Czy czyjeś nieudane próby?

Pilot wzruszył ramionami i zakasłał.

- Po co mamy wróżyć? Poczekamy, aż osiadzie kurz i polecimy.

Żółta mgła rozwiła się na tyle, że stał się widoczny las, pustynia i zielonkawe niebo. Z tej strony, gdzie zagrzmiał niespodziewany wybuch, nadal donosiło się grzechotanie i w niebo wkręcał się czarno-granatowy słup dymu, podświetlony od dołu pomarańczową łuną. Dym, z głuchym warczeniem, puchnął w gęsty obłok, po czym rozpełzał się po piaskach.

- Co by tam miało się palić? - mruknął pilot, patrząc na chmurę, osłaniając oczy dłonią. - Przecież tam same skały...

Naukowiec, stojąc obok, także wyteżał wzrok, ale przypomniał o swojej lornetce. Rzucił się do kabiny i niespodziewanie zauważył dźwigającą się niewysoko nad piaskiem, czarną plamę. Powoli, płynnie niosła się w powietrzu i w jej zarysach było coś niezwykłego, przyciągającego spojrzenie.

Bez słowa, ruszyli wzdłuż skraju lasu do miejsca, gdzie należało się spodziewać przybycia plamy i, jeszcze w biegu, uczoney stwierdził, że to człowiek, cały ubrany na czarno.

Płynął w bardzo nienaturalnej pozycji, około trzech metrów nad ziemią, jakby nic nie ważył i minąłby ich, gdyby nie pilot, który odłamał w biegu długi, suchy konar i powstrzymał niezachwiane ślizganie się nieznajomego. Ciało człowieka powoli obróciło się dookoła końca gałęzi i nagle, ciężko runęło na ziemię, jakby zerwane zostały niewidoczne nici, które podtrzymywały go w powietrzu.

Bierezin obszedł ciało i pochylił się, wpatrując w nieznajomego. Jego twarz, bezwątpienia, należała do człowieka, a mimo to, wprawne oczy uczonego odnotowały różnice w nienagannie eliptycznych oczach, otwartych, ale ciemnych, bez przebłysku świadomości i prostym, ledwie wystającym nosie, zbyt małych ustach i bardzo gęstych brwiach... Człowiek? Czy?.. Zresztą, co znaczy „czy”?

- Cudak jakiś - mruknął pilot, odpowiadając na wymowne spojrzenie uczonego.

W tym momencie, z oczu nieznajomego zaczęła znikać ciemna zasłona. Po kilku sekundach stały się przezroczyste, wypełniając się „elektrycznym” blaskiem. Nieznajomy nieuchwytnie szybko zmienił pozycję, jakby się przelał z położenia „leżąc” w położenie „siedząc”, jakiś czas nie zwodził swoich dziwnych oczu z obłoku kurzu i dymu na horyzoncie, potem niezrozumiały grymas zniekształcił jego twarz i niski, prawie przechodzący w infradźwięki głos, powoli powiedział:

- I kolejna pomyłka...

- Kim jesteś? - zapytał naukowiec, nawet nie starając się ukryć zdumienia.

Nieznajomy odwrócił głowę.

- Ziemianinem - z niespodziewaną tęsknotą w głosie, odezwał się po krótkiej pauzie. - Możecie nazywać mnie Deonem. Wesolutka sytuacja, prawda?

- Sytuacja, oczywiście, tego... - wymamrotał oszołomiony Bierezin. - Ale na człowieka, ty... szczerze mówiąc... I ludzie nie umieją latać...

Nieznajomy, z widocznym zainteresowaniem obejrzał Bierezina i pilota, i nagle się uśmiechnął. W każdym razie, grymas był podobny do uśmiechu.

- Nie powiedziałem - człowiek - oznajmił tym samym niskim głosem - jestem Ziemianinem i niczym więcej.

Obcy jakby zwiądnął, niespodziewanie położył się, dokładniej, jak by się przelał w leżące położenie i odezwał się już leżąc:

- Oprócz tego, jestem uciekinierem.

Naukowiec spojrział na zdezorientowanego pilota, gorączkowo kombinując, co robić dalej. Sytuacja wydawała się wyjątkowa i, chociaż był przygotowywany na zaskoczenia - rok pracy w roli rzeczoznawcy w CENTRUM przygotował go na różne niespodzianki - jednak takiego obrotu zdarzeń, nie oczekiwał.

- Co proponujesz? - zapytał szybko.

- Trzeba go dostarczyć do Moskwy.

- Nie - wmieszał się Deon. - Czas mojego życia upływa. Zdążę tylko odpowiedzieć na wasze pytania. Dlatego, pytajcie.

Bierezin słuchał z nieokreślonym uczuciem - coś pośredniego między ironią, zdumieniem i trwogą. Uwierzyć do końca w to co słyszy nie mógł, nie potrafił się też zdecydować, jak się do tego odnosić.

Z opowieści dziwnego obcego wynikało, że dwieście milionów lat temu, na Ziemi, istniała cywilizacja, która z jakiegoś powodu (z jakiego - nie zechciał uściślić) zaginęła w pomroce wieków. Tylko nieliczni, w tym i Deon, zdążyli zbiec do przyszłości, znajdując o miliony lat późniejszą, nową cywilizację, młodą, gorącą i... niebezpieczną.

- Tak, niebezpieczną - powtórzył. - Niestety, nie mieliśmy wyboru. Wy, ludzie - duoenergetyczni! Promieniujecie jednocześnie dwoma rodzajami energii: niszczenia i tworzenia! Nawet o tym nie wiecie, że źródłem promieniowania są wasze emocje: energia niszczenia - zło i nienawiść, tworzenia - dobroć i humanizm. Źródło jedno - emocje, ale obraz energii różni się podobnie jak wasze urządzenia do tworzenia, od urządzeń do niszczenia. Nawet nie podejrzewacie, że posiadacie olbrzymią moc, zdolną tworzyć wszechświaty! Traciecie ją z istic szaloną hojnością i, nie da się ukryć, absolutnie bezużytecznie, nawet nie zauważając jej istnienia. Oprócz rzadkich, przypadkowych jej przejawów - na przykład, telekinezy. W zamian, otrzymujecie pustkę...

- Dlaczegoż to nasza cywilizacja niebezpieczna? - zapytał urażony Bierezin, kiedy milczenie przeciągnęło się. - W jakim zakresie?

- Ostatnio, nasze przyrządy zarejestrowały narastającą falę bezsensownych strat energii twórczej, a z doświadczenia wiemy, do czego to prowadzi.

- Obojętność - domyślił się naukowiec, posępniejąc.

- Tak. Natura nie znosi pustki i, nie napotykając oporu, hipertroficznie rośnie energia niszczenia. Do takiego stanu doprowadziliśmy także my... dwieście milionów lat przed waszymi narodzinami.

Moim kolegom bardziej się poszczęściło, wielu przeszło inwersję pomyślnie, przedostając się do innych okresów czasowych... wieków. A ja... pomyliłem się, i to dwukrotnie - już sama ucieczka była błędem. - Głos Deona zniżył się do szeptu. - I całe życie...

- A ten wybuch? - zaczął Bierezin.

- Inercja była zbyt wielka, kiedy postanowiłem się zatrzymać - wyszeptał Deon - i przetwornik czasu zaciął się. - Przeniósł spojrzenie na rzednącą mgłę na horyzoncie...

Po kwadransie, pilot zdjął przepierzenie za siedzeniami, gdzie z dużymi problemami umieścili Deona: ciało niespodziewanego uciekiniera ze swojego czasu, okazało się niezwykle ciężkie. Nie sprzeciwiał się podjętej decyzji, tylko powiedział:

- Na próżno cackacie się ze mną, bo nikt nie potrafi mi pomóc. Nie jestem humanoidem... tak-tak. Prawdziwy mój wygląd, te „ręce”, „nogi” są wytworem waszej fantazji, jak i mój „rosyjski” język. Ty i twój kolega, także widzicie mnie różnie...

Bierezin nie okazał zdziwienia, tylko skinął głową - jego już trudno było czymkolwiek porazić.

- Promieniowanie zła... - powiedział, moszcząc się jakoś na uszkodzonym siedzeniu pasażera. - To, chyba rzecz umowna?

- Oczywiście - odezwał się Deon. - Gradacja warunkowa. Promieniowanie ma widmo i każda emocja daje swój pas. To ironia natury - wy, najznakomitsi z twórców, nie wiecie nic o swojej ogromnej, tworzącej mocy!

„Ogromne moce – być może - pomyślał uczony, w wyobraźni którego przemknęły obrazy ludzkiej działalności. - Ale równocześnie - straszne moce!.. Jeśli, oczywiście, to wszystko nie jest dowcipem i zagrywką... albo majaczeniem. Ile jeszcze w ludziach złości i nienawiści, obojętności i zawiści! Może ma rację ewolucją, że nie ujawniła naraz całej naszej potęgi. Wcześniej, trzeba nauczyć się promieniować w jednej skali - dobra i szlachetności... A tymczasem, uciekają do nas z otchłani wieków... czyżby dlatego, że sami okazali się bezsilni wobec własnej potęgi? A właściwie, czy oni też promieniają emocjami? W czym to się przejawia?”

- A co to znaczy - kierować energią zła lub dobra? - zapytał.

Deon na chwilę zamilkł.

Silnik prychał. Pilot, nie biorący udziału w rozmowę, kilkakrotnie wyskakiwał z kabiny i coś kombinował na jej dachu. Wreszcie motor zaskoczył i kabina zadrżała od wibracji wirnika.

Potem, zabrzmiał wyrazisty głos (głos?) uciekiniera:

- Chyba, zademonstruję wam moją własną radiację dobra, chociaż, jest to niebezpieczne. Ale jestem przekonany, że będziecie mogli wykorzystać tę wiedzę nie tylko dla siebie.

Oczy Deona wypełniły się białym światłem i Bierezinowi nagle zakręciło się w głowie. Konwulsyjnie chwycił się jakiejś belki nad głową, a w tym czasie, ciało uciekiniera zaczęło gwałtownie puchnąć i rozkładać się czarnym dymem, który wypełnił kabinę i zapał dech.

Instynktownie kopnął w drzwiczki i wypadł na ziemię, dusząc się od kaszlu. Odpełznął na czworakach od helikoptera, z którego, jak z krateru wulkanu, walił dym. Zobaczył po drugiej stronie wyskakującego i strasznie przeklinającego pilota.

Silnik pracował, łopaty śmigła obracały się i przygniatały strumienie dymu do ziemi. „On umarł... - miotaly się gorączkowe myśli. - Miał rację, nie mogliśmy go uratować... ale, wszystko jedno, to niesprawiedliwe... i żal go...”

Oczy zaszyły łzami, kaszel wywracał wnętrzności, w głowie huczało i Bierezin, konwulsyjnie zagarniając ziemię rękami, odpełzał jak najdalej od helikoptera.

- Poczujęm, że mdleję... - Bierezin oblizwał suche wargi i zamilkł.

- Ciekawe... - stwierdził Bogajew, poprawiając splezający z ramion szlafrok. - Bardzo ciekawe... i prawdopodobne. Jednakże, muszę cię zmartwić – to wszystko tobie

się przywidziało. Albo zdawało się, ubzdurzało, majaczyło - wybieraj jakie chcesz sformułowanie.

- Zapytaj pilota, on potwierdzi.

Bogajew zasępił się, wstał z krzesła i podszedł do okna sali.

- Pilot zginął - powiedział cicho. - Kiedy eksplodował ten przeklęty bąbel gazowy, helikopter, oczywiście, przewróciło i silnik wybuchł.

- Bąbel gazowy? - wyszeptał Bierezin. – Helikopter wybuchł? Niemożliwe...

- Możliwe. Ciebie znaleziono w głębi suchego lasu, a jego... w piasku, zbyt późno.

- Bąbel gazowy!

- Podziemne przestrzenie, wypełnione gazem. Prawdopodobnie, wcześniej w okolicy Smoczego Pustkowia gaz tylko przesączał się stopniowo, a kiedy bąbel wybuchł, fala uderzeniowa objęła wszystko dookoła na dziesiątki kilometrów. Stąd się wzięły twoje halucynacje – nawdychałeś się oparów. Promieniowanie zła... Też coś!

Bierezin popatrzył na swoje zabandażowane ręce. Halucynacje! Nic nadzwyczajnego się nie zdarzyło! Nie było dziwnego uciekiniera z bardzo dalekiej epoki, o imieniu Deon, nie było ich rozmowy... I nagle, przypomniał sobie: „Zademonstruję wam moją radiację dobra...” Co Deon chciał przez to powiedzieć? Przecież on był, istniał!

- Proszę mi odwinąć z rąk bandażę - powiedział cicho.

- Po co? - zdziwił się Bogajew, odwracając się.

- Proszę..., bardzo.

- Rozum ci odjęło! - Bogajew ze zgrozą popatrzył mu oczy. - Po co ci to? Lekarz mnie wyrzuci przez okno, nie zważając, że jestem twoim naczelnikiem.

- A może nie wyrzuci, zrobimy to szybko.

Bogajew wzruszył ramionami, wziął głęboki oddech i zaczął odwijać bandażę z rąk pachnących antyseptyką, w żółtych plamach od stłuczeń i nacięć.

- No i co teraz?

Bierezin też patrzył na swoje ręce, twarz jego zmizerniała, zrobiła się surowa i ponura.

A potem, naczelnik zobaczył, jak ręce podwładnego nagle pojaśniały, nacięcia i stłuczenia zniknęły, jakby z rąk zmyli farbę.

Bierezin bez sił opadł na poduszkę, leżał chwilę odpoczywając i z satysfakcją obserwował pobladłego Bogajewa.

*Przekład: Tadeusz Rubnikowicz*